Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 44. Poznań, dnia 2. Listopada. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Bernardin de St. Pierre.

Przez L. Siemieńskiego.

(Dalszy ciąg.)

Postanowienie swoje przełożył księżnie, która, jako kobieta wyższego sposobu myślenia, bez podziwu, bez obawy utwierdziła go w szlachetnym zapale. Jednakże nie chcąc go puszczać na niepewność losu, wybrała mu towarzysza broni niejakiego Michelisa, majora od ułanów, człowieka śmiałego i obeznanego z krajem. Następnie sama skreśliła plan téj ich wyprawy, wskazała osoby przychylne partyi, i weszła w najdrobniejsze szczegóły, jakby najdoświadczeńszy jenerał. Zawsze spokojna, zimna w ciągu tych przygotowań, dopiero przy pożegnaniu, bladość lica, drzenie głosu, zdradziły wewnętrzne wzruszenie serca.

Początek podróży szedł wcale pomyślnie. Pewnego wieczora jakiś powóz wymijał ich na gościńcu — była żona jednego z rządzców dóbr Radziwiłowskich, która wychyliwszy głowę powitała ich w sposób dawnéj znajomości, dodając, że wszystko przysposobi do ich przyjęcia. Około północy podróżni ściągnęli na miejsce wskazane sobie — wszystkie okna we dworze pootwierano, światła się migały, i wiele głosów odzywało się naraz., — Ten zgiełk zrodził pewne podejrzenia w majorze, lecz nie było czasu do odwrotu, albowiem komisarz wyszedł na ich przyjęcie, oświadczając, iż wojska rossyjskie ściągają się ku Białéj, a ułani księcia Czartoryskiego od rana grasują w okolicy. — Ta wieść przeraziła ich niemało — żądali natychmiast świeżych koni, odpowiedziano, że mieć niepodobna aż nazajutrz — nie wypadało jak przyjąc wezwanie i czekać. W godzinę po ich przybyciu wpadło nagle do izby sześciu uzbrojonych żołnierzy. St. Pierre porywa za pistolety, a major za szablę. Napastnicy zmięszani śmiałém przyjęciem, cofnęli się do sieni w nieładzie. Rycerze nasi, obawiając się nowéj napaści, chcieli zabarykadować drzwi i okna — lecz postrzegli, że jedne i drugie powyjmowano, co ich przekonało o zdradzie kommisarza. W niepewności losu, jaki mógł ich spotkać, Michelis palił papiery, a St. Pierre z pistoletem wyszedł na ciemny korytarz łączący drugą stronę budynku — postrzegłszy małe światełko na końcu korytarza, kierował się ku niemu, a to go zaprowadziło przed drzwi uchylone do izby, w któréj ośmiu ułanów siedziało około stołu. Kiedy tak podsłuchuje ich rozmowy w nadziei dowiedzenia się czegoś, jakaś nieznajoma osoba szybko przesuwa się koło niego ostrzegając po łacinie, aby uchodził przed zdradą. Wróciwszy do majora zdaje mu sprawę z odkrycia, i radzi wpaść na ułanów, rozbroić ich, zebrać konie i uciekać. Lecz Michelis wystawia niepodobieństwo, z powodu, iż w noc niezawodnie zbłądziliby w lasach, lub wpadli w ręce nieprzyjaciela. W ciągu téj narady słyszą tętent jazdy na dziedzińcu — komisarz i żona jego wbiegają z krzykiem, że ułani chcą dom podpalić i że otoczyli mieszkanie. W takiéj ostateczności St. Pierre postanawia przelać krew raczéj, niż dostać się w ręce Moskali; — major zaś, człowiek nielubiący nosić broń od parady, przychyla się do śmiałego zamiaru, mówiąc: że żalby mu było skończyć kampanię bez wystrzału — i już gotowali się do dzielnego odporu — kiedy oficer wyższy dowodzący oddziałem kazał im oznajmić, iż mają wszelką wolność wrócenia do Warszawy. Nadzieja znalezienia przewodnika i przebicia się na Litwę skłoniła ich do pozornego usłuchania rozkazu; jakoż wsiedli na konie i puścili się czwałem. Kilkunastu huzarów rossyjskich eskortowało ich opodal. Przybywszy nad Wisłę postrzegli wspaniały pałac Puławski własność księcia Czartoryskiego. Na ten widok Michelis poznał, że samochcąc mogą wpaść w łapkę, przykazał towarzyszowi być ostróżnym, i natychmiast wołał na przewoźników, aby ich przeprawili. Na drugiéj stronie czekało już kilku dworskich i rotmistrz gwardyi przybocznéj, który w imieniu księcia uwiadomionego o ich przybyciu zaprosił ich na obiad. Na wstępie do sali nalegano o odpasanie pałaszy, — żołnierze pod bronią czynią im honory wojskowe, a

dworzanie obstąpiwszy do koła pokazują osobliwości pałacu. Zabałamuceni tém uprzejmém przyjęciem zbliżają się do skarbca; było to sklepienie nadzwyczajnie wysokie, okna zakratowane, drzwi żelazne — zgoła żadnego śladu zwykłego pomieszkania. St. Pierre wchodzi najpierwszy, i nagle drzwi się zatrzaskują za nim, i za szyldwachem, który zbrojny bagnetem stoi w obec niego nieruchomy, dwa inne szyldwachy pilnują przysionku — do koła nastała cisza, jakby jéj żaden nie zmięszał wypadek.

Otóż jak paladyni Aryosta wpadli w zasadzkę! Nadszedł wieczór, ciągniono indagacyę — lecz St. Pierre postanowił nic nie mówić z obawy skompromitowania swego towarzysza zamkniętego osobno. Nieszczęściem Michelis mniéj okazał stałości, albowiem zeznanie jego zgadzało się z oskarżeniem komissarza, który ich zdradził; w końcu oświadczono panu St. Pierre, że jeśli dłużéj zechce trwać w uporze, wydany zostanie Moskalom. Tu mu stanęły w myśli wszystkie okropności niewoli, jakich się mógł spodziewać z jednéj strony, a z drugiéj wstyd miasto spodziewanéj sławy. Co na to powie księżna Marya? jak przed nią się pokaże? przed nią, co w jego charakterze i odwadze takie położyła nadzieje? Dziewięć dni ubiegło w tych walkach. Dziewiątego wieczorem, drzwi więzienia otwarły się i oficer księcia oznajmił mu, iż wiele znakomitych osób zajęło się jego losem. Między innémi wymienił posła austryackiego i rezydenta francuzkiego, księżnę strażnikowę koronną, podkomorzynę w. ks. Litewskę i księżnę Maryę M.... Ostatnie to nazwisko jakąż przejęło go radością! Sama wiadomość, że jest wolnym, czémże była w porównaniu? — Przy wyjściu jednakże musiał podpisać warunek, jako w ciągu bezkrólewia nie podniesie broni. Michelis także został wypuszczony za podobną rękojmią.

Odtąd zaczyna się nowy okres w życiu pana St. Pierre. Młodość jego upłynęła dotąd bez miłośnych uniesień, bo ambicya broniła przystępu téj namiętności; lecz teraz poznał jéj wpływ potężny, i wszystko reszta zaczém wzdychał i gonił, zdało się mu czczą marą. — Księżna Marya z radością powitała oswobodzonego; wielbiła odwagę, ubolewała nad przygodą i chciała z ust jego usłyszeć wszystkie szczegóły. W ciągu opowiadania oczy jéj często zapływały łzami, a kiedy skończył, rzekła z uczuciem: „Fortuna zdradziła cię, lecz nie skarż się na jéj zawziętość; tak ona zwykle obchodzi się z ludźmi, których chce potém obsypać.« — Wyrazy te mocno utkwiły w pamięci St. Pierre. — Tymczasem przygoda jego stała się przedmiotem rozmów wszystkich salonów — każdy na wyścigi chciał poznać Francuza, co w nieszczęściu dowiódł tyle odwagi i stałości, i co się tak szlachetnie poświęcał dla sprawy. — To go porwało w wir zabaw i balów, wśród najświetniejszych kompanii chwytano jego wyrazy; ale on w tém czarodziejskiém kole nie szukał, nie widział, tylko swą Maryę. Ona nawzajem zdała się unikać pochlebstw składanych jéj w hołdzie od licznych czcicieli, a z nim szukać cichych, poufnych wynurzeń. Żywa, lekka, dowcipna z wszystkimi, z nim okazywała się tkliwą i rozsądną; dzieliła jego zdania, odgadywała myśli, mimowolnie idąc za popędem tajemnego uczucia. Lecz znowu, czy to z kaprysu, czy z chęci doświadczenia swojéj potęgi niewieściéj, umiała na przemian to obudzać jego nadzieje, to niepewnością napełniać: dla tego po sto razy na dzień wpadał w wesołość, lub w smutek głęboki; dla tego nieraz przeklinał losy, przeklinał Polskę, postanawiał wyjechać, a jednak zostawał.

Pewnego dnia księżna zaprosiła kilka zażyłych z nią osób i pana St. Pierre na obiad do pięknego pałacu w pobliskości Warszawy. Te niespodziewane zaprosiny zniweczyły zamiar, jaki sobie ułożył opuszczenia Polski.

Pałac księżny leżał śród lasu starożytnych dębów i sosien. Sztuka niczém nie ozdobiła téj odludnéj ustroni, a jednak kręte ścieszki wydeptane przez pastuszków, szemrzące strumyki, ryk pasącego się bydła, jakiż nie opisany urok tchnęły w rozkochane serce! St. Pierre zaledwie wysiadł z powozu natychmiast pobiegł używać rozkoszy samotnéj przechadzki. Wszystko, co go otaczało, wabiło ku dumaniu, które jest zwykłą chorobą rozkochanych. Puszczając skrzydła wyobraźni już maluje sobie szczęśliwość jakiéj może nie doznał nikt z śmiertelnych, to znowu obejmuje go jakaś rzewna tęsknota; on, co niedawno chciał ponieść śmierć rozgłośną, sławną — teraz także jéj wzywa, ale gdzie w nieznanym zakącie, aby być płakanym od jednéj — bo on i ona, to jego świat wszystek.

Od dwóch godzin prawie poddawał się urokowi tych dumań, gdy na zawrocie ścieszki ujrzał księżnę postępującą zwolna brzegiem strumyka; była samą i zdawała się, jakby zachwyconą romantyczném położeniem miejsca. Pierwszą myślą St. Pierre było, mieć się do odwrotu; lecz po chwili wahania ośmielił się, zbliżył ku księżnie, gotował się tyle z nią mówić, a spuścił oczy i milczał. Księżna równie dzieliła jego pomięszanie, lecz przytomniejsza, postrzegła zbierające się chmury deszczowe, i radziła wracać przed burzą. St. Pierre podał jéj ramie, i tak udali się ścieszką ku pałacowi. Ani on ani ona słowa nie przemówili do siebie; gdy wtém tak gwałtowny deszcz lunął, że ledwie mo-

gli się schronić do ogrodowego pawilonku obsadzonego gęstémi drzewy. Ulewa coraz mocniéj szumiała, pioruny biły raz poraz. Księżna drząca, pomięszana tuliła się do boku kochanka, — on czuł uderzenia jéj serca, on głowę jéj trzymał na piersi. W pierwszém uniesieniu rzuca się do nóg ubóstwionéj kobiety — wyznaje, błaga, przysięga, — ona pół omdlała pada w jego objęcie — bez obrony, bez siły, bez woli, jak druga Julia, — a on był w szale, jak Saint-Preux.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Początek zimy.

Kwiaty!
Dąbrowo!
Żegnajcie nam!
Anioł zatraty
Z północnych wyjrzał bram;
I rzekł zniszczenia słowo.
A na to słowo do koła,
Więdną i trawki i zioła;
Twarz się przyrody mieni,
Jéj skroń obleka pleśń.
I nieskończona
Skowronka pieśń
W przestrzeni
Kona.

Hola!
Słyszycie
Widzicie — tam,
Przez nagie pola
Zbliża się tuman k'nam;
A za nim burzy wycie;
A wśród burzy, w majestacie
W rozpuszczonéj — śnieżnéj szacie,
Idzie władczyni nowa;
I przez tumanu mgłę
Znaczy oczyma,
Dziedzictwo swe,
Królowa
Zima.

Biada.
Wam kwiatki
Majowych błoń!
Już mrok zapada,
Blednieje słońca skroń;
Biada wam światła dziatki!
W pośród nocy i chaosu,
Ostatek pulsu i głosu
U matki ziemi znika;
Grobowy bije dzwon;
A z nim gromada
Kruków i wron,
Wykrzyka:
»Biada!«

A my
Synowie
Wichru i burz!
Zkądże uszczkniemy
Na wieniec dla was róż,
Wielcy w grobach ojcowie?
Niech świszczą wichry — grom błyska!
My siądziem blisko ogniska,
Pójdzie czasza do koła,
Z nią ku czci przeszłych lat
Piosnka radosna;
Nim świeży kwiat
Wywoła
Wiosna.

J. N. J.

Wspomnienia pisarzów dawnych.

KASPER MIASKOWSKI.

Kasper albo Malcher (tak i tak bowiem podpisywał się na swoich dziełach) czyli raczéj Kasper Malcher, dwóch imion, Miaskowski, urodził się roku 1549., umarł 1622. r., jak to widać z położonego mu nagrobku, który (jak mówią) dotąd istnieje w kościele parafialnym wsi Wielki-Strzelec zwanéj, a położonéj w powiecie Krobskim we Wielko-Polsce. Jestto ten sam nagrobek, który on sobie sam za życia ułożył.[1]) Żył naprzód we Włoszczonowie pod Gąbinem, a więc w Kujawach, dla tego też Andrzéj Lechowicz chwalca jego nazywa Miaskowskiego nowém światłem Kujawskiéj strony; późniéj mieszkał we Smogorzewie o kilka mil od Szląska, we wsi górzystego położenia.[2]) Wydał następujące dzieła:

Łodź Opalińska, w Kaliszu u Gedeliusza, 1608.

Ta oda wyszła po drugi raz z innémi poezyami Miaskowskiego w Krakowie 1612. (zbiór rythmów przez Malchra Miaskowskiego); a ten zbiór powtórnie pomnożony wydano w Poznaniu 1622. (Zbiór rythmów Kaspra Miaskowskiego we dwóch częściach.) Drugiego wydania pisząc ten artykuł, używałem, oznaczywszy obiedwie części, z których się rzeczony zbiór składa liczbą I. II.

Miaskowskiego łączyła ścisła przyjaźń z duchowieństwem rzymsko-katolickiém, jemu swe celniejsze poezye poświęcał, jego i dworu kierował się zdaniem, my-

[1]) Dz. I. str. 159.
[2]) Gazeta codzienna Warszawska z dnia 5. Lutego 1838. r. w numerze 2040.

ślał i żył, jak ksiądz. Będąc za systematem konserwacyjnym powstawał na rokosz Zebrzydowskiego,[3]) a sprzyjając wielce duchowieństwu, pisał wiersze przeciwko heretykom i przyjaciela swego, duchownego stanu osobę, łajał za to, że czytywał dzieła wydawane od protestantów.[4]) Miał trzech braci, lecz tylko o dwóch, o Baltazarze, Suffraganie Włocławskim, tudzież o Macieju napomknął w swoich poezyach, wiersze im swe posyłając. Wspomniał i o Balcerze Miaskowskim snadź synowcu swoim, który w dziecinnym umarł wieku. Napisał mu nagrobek, tudzież Zofii ze Szczodrowa swéj żonie, i swojemu synowi imieniem Jan.[5])

Był to poczciwy szlachcic, Boga i ojczyznę swą nader miłował. Pilnie uczęszczając do kościoła w Gąbinie (pomimo, że mu raził uszy krzykliwy śpiew tamecznego ludu i wrzaskliwe organy) nie przepominał wstępować do domku murowanego z cegły, mieszkania księdza Marka, który z prawdziwego powołania, a nie dla kopy (dla dziesięcin) obrał sobie stan duchowny i sprawował go wzorowo. Miaskowski żył w przyjaźni z całém miastem Gąbinem, szczególniéj też z mieszkającémi tamże (jak się wyraża) głowami szlacheckiémi, którym wyjeżdżając z Włoszczonowa zalecał zgodę i pokój.[6]) Cnocie jedynie hołdując, położył sobie nade drzwiami napis, ażeby do domku jego nie wchodzili ci, którzy mają dotkliwy i gadatliwy język.[7]) Najszczęśliwszy był, kiedy po ukończeniu gospodarskich prac usiadł sobie odpocząć przy kominku, na który ten piękny napis ułożył[8]):

Kiedy obłem *) jaskółki polkną już jeziora,
A bydło z nagich lasów zawre w się obora,
Kiedy pola okryją białe w koło śniegi,
A szron ostry pospina na brzegach komięgi,
Tu niźli zefir ciepły potarga zaś lody,
Niż gżegżołka ogłosi majowe pogody,
Tu suche, tu mi drzewka nieście do komina,
A na stół czarę piwa albo flaszę wina.

W kraju a nie za granicą pobierał nauki Miaskowski. Języka greckiego nie umiał; z łacińskich poetów szczególniéj Wirgilego czytywać lubił, którego czwartą sielankę naśladował zastósowawszy rzecz z niéj wziętą do narodzenia Chrystusa pana.[9]) Pomimo chrześciańskiéj pobożności nie wahał się dla religijnéj swojéj poezyi dobierać obrazów z pogańsko-starożytnego świata, ustawicznie niémi sadząc. Chrystusa pana wyżéj stawia nad mistrza z Cekropskiéj skały, i nad rozum Tarpejskiego koła. Powiada, że Muzy, sprzykrzywszy sobie Helikon, udały się na brzeg Palestyny dla śpiewania chwały Jezusa.[10]) W śmieszności wpada ilekroć razy uniża się głęboko przed tymi, których chce uczcić pracą swoją. Posyłając Łackiemu Suffraganowi Włocławskiemu wiersz swój pod napisem Łotr Dyzmas, tak się do tego odzywa prałata: »Łotr łotra ja posyłam cny biskupie tobie.«[11]) Przerabiał lub naśladował Jana Kochanowskiego, jak to widać z wiersza do Stanisława,[12]) ale w zewnętrznym poezyi układzie jest oryginalnym. Jego rytm czworowierszowy tak jest ułożony, że pierwszy czwartemu a dwa środkowe wiersze wzajemnie odpowiadają sobie: niekiedy wiersz pierwszy drugiemu, trzeci czwartemu odpowiada.[13]) Żale na śmierć Kochanowskiego ułożył w sposobie rozmowy z lutnią tego poety. Czyni do niéj zapytanie: »Powiedz córko spłodzona w czarnym lesie, gdzie się podział twój kochanek?« Nie odebrawszy żadnéj odpowiedzi tak daléj mówi: »to ja, a ona tak mi na to rzecze.«[14]) Wszakże szczególniéj w podziwienie wprawia nas, duch wzniosły lirycznéj poezyi Miaskowskiego, czém celuje nad wszystkich ówczesnych poetów polskich. W téj mierze podobniejszy jest raczéj do Pindara, niż do Horacego, z powodu, że jeden i tenże sam przedmiot rozmaicie a zawsze samodzielnie opisuje (co właśnie oryginalności jest cechą); gdy przeciwnie Horacy co chwila różne opiewa przedmioty, nie wykazując przez to, jakby się też był znalazł, gdyby mu przyszło było myśl swą utkwić w jednym obrazie po kilka razy. Co tém bardziéj zadziwiać powinno, gdy Miaskowski, nie znając greckiego wieszcza, samego tylko Horacego czytywał, i jego ody (podług ks. Siarczyńskiego) na polski przekładał język. Talent poetyczny kujawianina tego wysoce ceniąc Andrzéj Lechowicz, tak o nim śpiewał[15]):

. . . . . Miaskowski kujawskiéj nowe światło strony,
Któryś Polski Amphion, (czyje zawsze żagle
Port, gdzie jeno zamierzał, dochodziły nagle:
Acz on ani wiosłami, ni wiatrem, lecz piory
Dowcipu wierzch dochodził niedostępnéj góry.)

Piotr Grzegorzkowicz, czyli raczéj Dymitr Salikowski (w przedmowie do Herkulesa Słowieńskiego) przesadzając się w pochwałach jego powiada, że Miasko-

[3]) Dz. I. str. 149.
[4]) Dz. I. str. 236. i następn. str. 172.
[5]) Dz. II. 122. 159. 160.
[6]) Dz. II. str. 250. 253.
[7]) Dz. II. str. 169.
[8]) Dz. II. str. 168.
*) Linde p. w. obły tłómaczy to w około, lecz falszywie; znaczy bowiem jasność, białość (mróz) jak widać z Gornickiego Dworzanina str. 91, który mówi: »Jako dobry malarz cieniem wysadzi rzecz y uczyni ją obłą, a jasnością poda na dałą,« i t. d.
[9]) Dz. I. str. 39.
[10]) Dz. I. str. 55. 19.
[11]) Dz. I. str 93.
[12]) w Kochanowskiego fraszkach 96.
[13]) Dz. I. str. 1. 32.
[14]) Dz. II. str. 228.
[15]) W żałobie sowitéj.

wski przeszedł w poezyi Jana Kochanowskiego, a zrównał Homerowi. Pod względem liryczněj szczytności wyższym jest nad wszystkich polskich wieszczów: wszakże niższym od wielu okazał się być poetą w światowych, a szczególniéj też historycznych pieśniach (o Nalewajce, o Dymitrze Carze). Nowe wyrazy, któremi jezyk nasz poetyczny zbogacił, lub stare, które znowu do życia przywrócił, na szczególniejszą nie zasługują uwagę,[16]) ale zasługują na nią, wyrażenia się jego prawdziwie poetyczne. O myśliwym mówi: zbiera ptactwo ołowiem okrągłym w siarczystym płomieniu.[17]) Obłoki przezroczyste nazywa kryształowemi kołami.[18]) O bracie swoim, zmarłym po długiéj chorobie, powiada[19]), że dla tego śmierć wytrzymała go tak długo w bolach, ażeby

wnętrzne do nieba obróciwszy oko,
wzdychał tam jako więzień ścisniony głęboko.

Pisywał bez żadnego za to wynagrodzenia; za swoje wiersze, jak sam mówi,[20]) ani biednych nie dostał piskorzy. W wydaniu drugiém odmieniał prace swoje. Mianowicie postąpił sobie tak z Herkulesem Słowieńskim.

Warszawa w Paźdz. 1840. *W. A. Maciejowski.*

---

[16]) Ozowic, odezwie się; zdobny, ozdobny; ododziany, obrany z odzienia; zgonię, dogonię; pry, prze, mówi; dziwakie, dziwny, straszny; część I. str. 47. 53. 92. 119. 120. 248.
[17]) Dz. I. str. 217.
[18]) Dz. I. str. 234.
[19]) Dz. II. str. 262.
[20]) Dz. II. str. 248.

Przygoda podróżnika.

(Dalszy ciąg.)

W świetlicy było kilkanaście dzieweczek przędzących kądziel — jedne siedziały na ławach pod piecem, drugie na przypiecku, inne na łóżku i skrzyni — a koło nich parobki poprzysiadali się na konewkach i workach ze zbożem, każdy z flaszeczką wódki i z knyszami za pazuchą — na piecu zaś, niby widzowie téj sceny, leżą brzuchem dzieciaki, że tylko im główki białowłose widać, jak aniołkom na bohomazach. Podróżny powitał to grono zwykłem: »niech będzie pochwalony!« i prosił, aby nie ustawali w zabawie i jego do spółki przyjęli — ale parobcy z daleka go tylko obchodzą, krasawice szepcą, a zerkają i chichocą — widać, że wygląda na coś zwaszecia, bo przystać od razu do siebie nie mogą; czy ta pstrokata chustka pomawia go o dworszczyznę; czy też w zacięciu co dostrzegli? Bóg że ich wie, co sobie myślą — ale pan Dołęga nie Fryc na takie przypadki, wie on, że czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą, — więc daléj do torby — wyjmie pękatą flaszkę, którą zawsze lubił mieć pełną, ze stołu weźmie czarkę, a obracając się do gospodarza: »kumie! do was, i tak w koło, to się wszyscy pokumamy — zdrowie wasze!« — i koléj zaczęła z rąk do rąk obiegać: parobki piją duszkiem, dziewczęta kosztują po dziesięć razy i odwracają twarz, lub zakrywają rękawem. Znajomość powoli się wkrada, ręce się ściskają, ten i ów zaczepia: zkąd przybywa, z daleka, czy z bliska? jaki tam urodzaj? pan zły, czy dobry? — Podróżny na wszystko odpowiada, jak z bicza trzasł, — parobki już dość przystają, ba, lizą jak muchy do miodu — już się zwąchali, mrugają na siebie, co któréj krasawicy wypłatać, i ot: téj oplątali nitkę, tamtéj podpalili kądziel, innéj wrzeciono wysmarowali sadłem, że ani rusz nim obracać — co krzyku! co śmiechu! dziewczęta nie żałują kułaków i klną, co wlezie w mamu i didka; a najwięcéj dostaje się przybylcowi, bo to majster mietlarz na figle! — aż czasami Ostafi, gdy zerknie z pod oka, a zobaczy jak kum w obertasach, zmarszczy brwi, chce skarcić zbytnią poufałość względem pana porucznika, lecz ten pogrozi mu palcem na boku, i stary rad nierad jeszcze mu basuje.

Tymczasem na stole nakrytym białym obrusem kurzy się misa z pierogami, druga z kaszą i jajecznica w rynce. Gosposia pięknie zaprasza gościa i wszystkich, kto raczy — ale dziewuchy i parobcy wymawiają się, gość tylko z Ostafiejem zasiada, a dzieci z przypiecka skaczą, dokoła stół obstąpią, i zaglądają jedzącym w oczy. Gospodarz starym obyczajem radzi zalać robaka, i bierze się do traktamentu w drugą koléj posyłając czarkę. Tą razą już i śmiechy głośniejsze i żarty gęstsze i krasawice jak czeczotki szczebiocą i parobcy garną się do nich serdeczniéj. Tam w samym kącie, któraś brzęknęła sobie nutą niby z umizgiem do gościa:

Aj lycho ne Petruś,
Bite lyczko, czorny wuś...

za nią druga i trzecia potrącają się łokciami: Spiwajte kachno! Nuże o tém zawedit dumku! — i długo tego potrącania, długo strojenia — gościowi aż ślinka idzie, takby rad co usłyszyć, a nalegać się boi, bo wie doświadczeniem, że przed obcym piosenka, jak suseł, zaraz do jamki umyka; więc tylko Ostafieja podbudza, aby się weselono; a Ostafi poważnym głosem tak parobków zachęca: »Héj mołojcy! nie marnujmy czasu — wybierzcie z pośród was Berezę, to wieczornica pojdzie ładem, szumek, dumek i kalinuszek nie braknie — wszak patrzcie, krasawice tużą za pieśnią, a wstyd im zaczynać przed wami.« — »Zgoda na Berezę! wybierzmy Berezę!« krzyczeli parobcy i dziewki, »Hnatko nam

będzie Berezą, bo on i najlepiéj wyciąga i najładniejsze umie pieśni.« — »Kiedy taka wola wasza, panowie gromada,« rzecze Hnatko, motorny parobczak, występując na środek, »tedy sam, tu do mnie mołojcy! Stańcie kołem i daléj korowodem!« — Na to wezwanie nie jeden parobek, choć może nierad odstąpić swojéj hołubki, wszelako stawił się ochoczo, — już wszyscy okrążyli Berezę, i opierając się jeden na ramieniu drugiego w milczeniu czekali hasła. Bereza, czyli, jak go inaczéj zowią, Wojda, wódz pieśni, podparł się w boki, czapkę na ucho nasadził, okiem wodził po świetlicy, jakby szukał natchnienia — aż skłoniwszy się gospodarstwu i gościowi i swojéj krasawie, zaczął od przegrywku ułożonego na prędce podług okoliczności; było to powitanie gościa w cudzéj stronie, zaczynające od znanéj dumki:

Sołowiju małeńkij
Majesz hołos toneńkij;
Zaszczebeczy ty myni,
Bo ja w czużyj storoni....

I z tego niby tematu rozwijał dalszy tok pieśni, a chór ciągle tę zwrotkę powtarzał. Podróżny nie posiadał się z wewnętrznego ukontentowania; już i nie kończył wieczerzy, a raczéj kończył ją prędko, bo pieśni szły raźnie jedne po drugich, coraz osobliwsze i piękniejsze, a bał się słowa uronić, choć pamięć miał bystrą, że wszystko od razu umiała zatrzymać, jednakże nie dowierzając sobie, ciśnie Ostafieja za rękę, dając mu poznać, aby usiadł przed nim, zakrył go szerokiémi plecyma, a on tymczasem skrycie, dobywa książeczki i pisze, wciąż pisze i pilno pogląda, azal kto nań nie patrzy. O, bo też cudne tam rzeczy śpiewano! Cały świat poezyjny ludu, na którym leży pieczęć tajemnicy dla niepoświęconych, ów świat taki świeży, woniący, przejrzysty, stubarwny, jak na dniu stworzenia przewijał się przed nim — on słucha, on patrzy w to panorama, i widzi: gdzieś w dalekiéj głębi, z pod mgły siwawéj, co wisi na górach i lasach wyzierają jakieś postacie mityczne: Did-Łady, Kupały, Czernoboha — niby bóstwa kamienne w swoich kontynach — ale nie rozpoznać rysów dłuta, czy się zatarły, czy ich nie było? bo tylko kawał granitu pozostał, od którego nazwa, echem długiem odtętnia, i późnym wiekom wciąż dzwoni. Tam znowu, poniżéj tych gór ołysionych, świętych dąbrów, a grodów, żywiéj i mówniéj uwija się rzesza, co jakby dotąd spełniała posłannictwo swoich zapomnianych bogów: tu siry tur straszy swojémi rogi w święto kolady — białozory i sokoły żeglują powietrzem, a dołem po wodach łabędzie, a czynna kukułka podsłuchiwa rozmów kochanków, roznosi wieści, wróży dobrym ludziom szczęście lub niedolę. — Takie było niebo czarodziejskiego świata; teraz ziemia: step głuchy i szeroki — na nim mogiły gadające z wiatrami; wierzba, co śpiewa, kto pod nią zabity — ciche dunaje kędy tyle serc rozkochanych czerpa ochłodę, lub tonie w żałości, — trzy rzeki, co płyną w sieni i dostarczają wody do ślubnych kołaczy, — paproć, któréj kwiat skarby odsłania, — kalina, bez któréj nie obejdzie się piosenka, kalina na grobie mołojca — symbol gorącéj i wiecznéj miłości....

Podróżny trąca Ostafieja i prawi: „Chłopakom gardła pozasychały, nie daj ustawać....« — »Gosposiu!« woła Ostafi na żonę, »upalić krupniku, niech będzie pierno i słodko.« — Żona posłuszna nalewa ogromną misę gorzałki, mięsza miód i korzenie i zapala płomieniem. — Bereza odkrząknął, splunął — a jakby miał w gęśl pobojańską dzwonić, takim potoczył spojrzeniem dokoła; widać, że mu w duszy zagrała cała miniona sława kozaczczyzny, bo zawiódł dumkę o jakimś starym poległym hetmanie zaporozkim, któremu grób szablami kopano, a przygrywano w surmy....

»Bosko! bosko!« powtarzał sobie podróżny — i z drżeniem radośném jedno pisał, drugie chował w pamięci. — Już teraz każdy na schwał podnosi dumę w cześć jakiego: Chmielniczeńka, Niczaja, Sawy. Tabory stoją przeciw taborom — czarnym szlakiem ciągną Tatary — a Dniepr szumi po porohah i czajki wynosi na Czarne morze, — na stepach limany i kurhany i bracia sokoły — w bitwach kruki rozwłóczą kości; mać szuka syna, krasawica kochanka; konik płacze za panem a nóżką grzebie. Jaki ruch! jakie życie! — lecz mija sława, ciągną nieszczęścia i klęski Ukrainy: pańszczyzna, rekrut, niewola; pan Kaniowski goni za bednarzówną; babę miasto zazuli ustrzelił — żałośnym roznośnym krzykiem czajki — sieroty, kończy się szereg obrazów niedoli. — »Widpocznit teper mołojcy!« woła Ostafiowa rozlewając krupnik w czarki — i znowu czarki krążą do koła, znowu się chłopcy przysiadają do swoich szepcą i hołubią. Ostafi pyta swego kuma, czy mu niekuczno — ale podróżny powiada, że choćby noc całą przyszło mu czuwać i słuchać, toby o spoczynku ani pomyślał. Gospodarz, który się także rozochocił, podmawia starą Makrynę do gadania kazek. Mołojcy i dziewki klaszczą w dłonie, radują się i obstąpią staruszkę, która na całą okolicę słynie ze sztuki odczyniania uroków, z leczenia na wściekliznę i ze złotéj bajki, którą potrzeba trzy dni i trzy nocy opowiadać. Babula na odczepne zaczyna: był tu dziad i baba . . . ale pusty tylko śmiech wzbudza i nowe prośby, tak że zmiękczona, wprowadza nakoniec swoich słuchaczy w czarodziejski kraj najdziwa-

czniejszéj wyobraźni. Wszystko koło niéj się kupi, dzieci i starsi, a tak cicho, że słychać lada szelest liści na dworze. Tu już występują królowie i królowe, trzy córki, trzech synów — czarno-księżnicy i zaczarowane pałace, złoto, srebro i diamenty — dwunastu rozbójników wietrzących krew ludzką — popieluchy i Marcebille i diabeł, który przyjmuje służbę za chłopa; — za témi idą dziwne, fantastyczne podania ze świata duchów, podania żywe, stwierdzane codzienną wiarą: o preleśniku, o łełekach, upiorach, zmorach, wilkołakach — wszystko to widział na własne oczy, ktoś, co niedawno umarł, ktoś ze wsi sąsiedniéj, ktoś co godzien wiary — i jaki taki potrząsa głową i tuli się ku staruszce, gdy wtém kaganek, wiszący przy oknie, niepodsycony tłustością, buchnął płomieniem, zaskwarczał i w ciemności pogrążył klechdę i słuchaczy. . . . Dopiero teraz przypomniano sobie, że już dobrze koło północy i dzieweczki zwijają kądziołki, mołojce odziewają się w świty, i po zwykłych pożegnaniach rozchodzą się do dom, śród naszczekiwania kądlów po zagrodach. — Podróżny z radością w twarzy ściskał za szyję poczciwego wiarusa, i przepraszał go, że dla swéj ciekawości skradł mu połowę nocy. — »Nic to, nic — mówił Ostafi — jutro święto, nie będzie pańszczyzny.« — »To chwała Bogu! — rzecze podróżny kładąc się na zestawionych ławach (nie chciał bowiem przyjąć łóżka gospodarskiego) — ale, ale! jakie ze mnie zabudźko! ato miałem zapytać staruszki, co znaczą te mogiły na uroczysku za wsią i ten wał na błotach, ona co wie tyle, mogłaby mi powiedzieć. . .« — »Te mogiły na uroczysku? — pochwyci gospodarz — wiem ci ja o nich lepiéj niż Makryna. Jeszcze mi nieboszczyk mój rodzic powiadał, że była jakaś tam Kniahini Olga, którą gdy gonił Batyj, ona z zamku do zamku uciekała, przemieniwszy siebie i wojsko w myszy, które kopiąc się pod ziemią, na wiele mil taki wał wyrzuciły, dopiero gdzieś daleko na grodzie Pleśnisku obwarowała się mocno i pobiła pohańców. . . Oj, kumeńku, w tych kopcach drogie tam muszą być rzeczy, bo co wieczór palą się pieniądze . . .« — »Co mówisz, stary? — zadziwuje się Pan Dołęga — ciekawe mi dziwy prawisz, a po małéj chwili myślenia: czy nie będzie wam ciężko wstać jutro do świta, mój ojcze?« — »O czemu nie, kumeńku; wszak ci mnie nie pierwszyno?« — Więc dobrze, weźmiem z sobą motyki i rydle, i pójdziemy dobywać skarbów . . .« — »Byle czort nie przeszkadzał?« ostrzeże Ostafi. — »Spuść się na mnie, mam ja na niego sposób.«

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Vorstudien zur Wissenschaft der Natur oder Uebergang von Gott zur Schöpfung von Bronislaus Ferd. Trentowski.

2 Bände. Leipzig 1840.

(Ciąg dalszy.)

Rzecz filozoficzna sama, i jako taka, wyzwolona od wszelakich partykularnych względów, jest świetna w wyrazie, głęboko pomyślana w zasadzie, jasno i do zrozumienia przeprowadzona w szczegółach. Poprzedza wstęp obszerny, będący rozprzestrzenionёm pojęciem Boga, jakie nam autor dał już poprzednio w zarysie uniwersalnéj filozofii swojéj. Chcąc mówić o naturze z filozoficznego pojmowanéj stanowiska, musiał ją wyróżnić od pojęcia Boga, z którym tylekroć brano ją za jedno, i filozofią obwiniano o panteizm; a aby własne pojęcie istności najwyższéj jaśniéj uzasadnić, musiał oraz dać inne jéj pojęcia, tak jak się w kolei czasu objawiły, i wykazać ich jednostronność. — Widzimy tu Boga według materyalnego i empirycznego pojęcia, ową powszechność rzeczy stworzonych w ubóstwieniu, czyli panteizm; daléj Boga pojętego jako czystą duchowość, w któréj nic nie ma materyalnego ani częściowego, ale jedność sama w sobie równa, jednoista, jest to Bóg idealizmu czyli monoteizm; wreszcie Boga mystyków i scholastyków, którzy go wystawiają sobie jako osobę w chwale wiekuistéj, w nieskończonéj doskonałości przymiotów osobistych władającego światem z poza świata, niepojętego, ale objawionego ludziom. Wyborna jest w téj mierze krytyka autora, mianowicie w nicowaniu mystycyzmu i nowszéj scholastyki (od 56. do 75. str.), którą czytelnikowi polecamy.

Po tém wszystkiém występuje autor w IV. dziale wstępu z pojęciem Boga według własnego systemu. Już to dawniéj był wywiódł, podając jego zasady, że nie samémi zmysłami, ani samym rozsądkiem pojmuje człowiek prawdę, ale zlewkiem obu narzędzi, którą to władzę poznawania rzeczy nazywa dostrzeżeniem (Wahrnehmung, *animadversio*). Człowiek więc patrzy się na przedmiot każdy nie oczyma ciała, nie oczyma duszy z osobna, ale oczyma i témi i témi razem. Na ten tylko sposób nabiera bezpośredniego i całkowitego pojęcia z zupełną pewnością, na téj tylko drodze przychodzi do poznania prawdy całkowitéj i żywéj, i przekonywa się, że Bóg jest »*animadverto, ergo deus est.*«

W takiém uważaniu rzeczy leży rzeczywiście wielki postęp, i lubobyśmy dostrzeżenia nie nazwali osobną władzą umysłową, o któréj dotąd z ludzi nikt nie wiedział, to jednak pewno, że każdy przedmiot przedstawia nam się do poznania cały i żywy, w zupełności materyalnego i duchowego swojego bytu, a zatém w téj zupełności od razu od nas ujęty, odnosi się nie tylko do zmysłów naszych, ale i do rozsądku razem, od których jednocześnie, jakby nowém, jednem narzędziem dostrzeżony bywa. Bo też zmysły nic osobnego nie są, ino przeniknieniem się materyi i ducha, to jest narzędziem i wiedzą razem Chwila widzenia, słyszenia i t. p. jest oraz chwilą duchowego pojęcia rzeczy widzianéj i słyszanéj. Myśl każda do tych samych dwóch odnosi się pierwiastków.

Bóg zatém dostrzeżeniu przedstawiający się, będzie nie tylko Bóg empiryczny, zmysłom samym przystępny, ale razem i Bóg idealny, samym rozsądkiem pojmowany. Będą to dwie pobocznice Bóstwa, z których każda do istoty jego należy, ale istoty całéj nie wypełnia. Trzecią jeszcze pobocznicą istoty Boga, będzie Bóg ujęty w każdéj chwili życia, jako żywotnia jednia materyi i ducha, czyli Bóg pojawiający się każdą tercyą czasu; a dopiero to wszystko troje stanowi zupełne i całkowite pojęcie Boga. Tak n. p. igła magnesowana ma dwa przeciwne bieguny, i punkt środkowy, indiffe-

rencyonalny, w którym się oba bieguny w jedność złączyły, a dopiero całość tych trzech własności samą igłę magnesową stanowi. Jako zaś w każdéj cząstce magnesu ta troista jego własność w zupełności się objawia, tak Bóg w każdéj cząstce swojego jestestwa jest cały i zupełny. (str. 83.)

Bóg na ten sposób pojęty odzywa się do śmiertelnika — jest to poezya, któréj autor użył dla wznioślejszego wystawienia przedmiotu przez się wzniosłego — i wypowiada mu przymioty swoje (str. 76.—90.). Są one czystém wyłuszczeniem tego wszystkiego w połączeniu, co się zosobna o Bogu empirycznym, idealnym i mystycznym powiedziało. Pod tym względem jest stanowisko naszego autora eklektyczne. Dalsze ztąd wnioski, mianowicie tajemnica stworzenia, wartość wyłącznie do teraźniejszości przywiązana, wyniesienie człowieka na najwyższe i ostatnie dzieło stworzenia, ani wypadają bezpośrednio z takiego pojęcia Boga, ani wydają nam się dosyć ugruntowane w prawdzie. Że człowiek na kuli ziemskiéj, owéj nieskończonéj odrobinie w porównaniu z ogromem światów, najdoskonalszym jest tworem, nie idzie zatém, aby był najdoskonalszym tworem stworzenia całego, i Bóstwo na nim już granice swojéj doskonałości położyło. Wszakże ludy samym instynktem uczuły tę prawdę, że nieskończona jeszcze leży przestrzeń między stwórcą a człowiekiem, i odstęp ten zbyt niezmierzony, utworami wyobraźni, postaciami wyższych niżeli człowiek doskonałości wypełniły. — Jako zaś przyszłość ważniejszą nam się widzi od teraźniejszości, powiedzieliśmy wyżéj. Nakoniec co autor o tajemnicy tworzenia namienia (str. 84.), tak mało zadawala, jak mało zadawalały innych systemów téj sprawy tłómaczenia. Jeżeli świat i rzecz każda jest zlewkiem materyi i ducha, ciała i siły, nie idzie zatém, abyśmy sobie twórcę wystawiali w odwiecznem zatrudnieniu zlewania tych dwóch pierwiastków w jedność pojawu nierozerwaną. W innem miejscu powiedział autor: syn z ojca zapładza się nasieniem, plemie ludzkie ze zwierzęcego, zwierzęce z roślinnego, roślinne z nieorganicznego początek swój wzięło i t. d.; widać ztąd że w każdéj metamorfozie, w każdém zapłodzeniu, już jest ogólnik i pojedynek w jedni, w jedni materya i duch, i nic się inną drogą nie tworzy.

Nie pojmujemy zaś całkiém końca nauki i przykazań uniwersalnego Bóstwa. »Mój poprzednik, Chrystus, mówił uczniom swoim: com wam powiedział na ucho, to opowiadajcie z dachów: a com wam powiedział nocą, to ogłaszajcie za dnia jasnego. I prawdę powiedział. Chrystus bowiem był nauczycielem mass, i nauczał tego, co do zbawienia mass prowadzić mogło. Ja zaś powiadam Ci: abyś tym tylko ogłaszał naukę moją, których duch dostrzegający ocknął się i dojrzał, a abyś ją zamilczał przed dziećmi, przed kobietami, przed ludźmi bez myśli. Albowiem prawda nektarem jest dla tych, którzy jéj łakną, a trucizną dla zwolenników spraw powszednich.«

Nie rozumiemy w ogólności, aby filozofia — co dotąd było jéj wadą — była tylko udziałem wybranych. Raczéj jak słowo boże, powinna być upowszechniana i opowiadana wszystkim, bo przeznaczeniem każdéj prawdy jest publiczność jéj i powszechność. Acz słowo jéj jak słowo ewangelii padnie nie raz między ciernie, gdzie wyschnie, i na opokę, gdzie się nie przyjmie; acz będą tacy, co mając uszy ku słuchaniu, a nie usłyszą, oczy ku widzeniu, a nie zobaczą, to przecież złe nie leży w prawdzie, ale w słuchających prawdy. Mniéj jeszcze przypuścić możemy kastę uprzywilejowanych duchem postrzeżenia, którymby się Bóg, duch prawdy, wyłącznie objawiał. Wszakże Bóg, ta prawda najzupełniejsza i najrozleglejsza, według teoryi p. Tr. bezpośrednio do poznania drogą dostrzeżenia objawia się. »Nie napróżno zaś obdarzyłem cię dostrzeżeniem — mówi tenże sam Bóg do człowieka w ogólności — owém źródłem zupełnego poznania, do którego stoczyły się zmysły, wraz i rozsądek twój, abyś pojął co jest widomego i niewidomego razem. Nie pogardzaj tą perspektywą, ku dojrzeniu rzeczywistości. Dałem ci ją, abyś się nauczył poznawać mnie w iskrach i blasku życia mego, i zupełnéj istoty mojéj.« Zkądże więc światłu filozofii, ażeby się chowało przed ciemnościami obłąkań ludzkich, jeżeli władza dostrzeżenia w każdym człowieku złożona? a jakoż się w nim ocknie i dojrzeje, jeżeli promienie światła prawdy zaspanych oczu nie rozmarzą, błędu nie rozświecą?

Autor tak pojętego Boga kładąc za podstawę filozofii swojéj, nazywa ją najprzód pierwszą i jedyną filozofią, powtóre jedyno-chrześciańską, potrzecie wolną od zarzutu panteizmu i ateizmu, który inne systemata trafia. Rozważmy pokrótce te twierdzenia.

Już dla tego samego, że z empiryzmu, idealizmu i ze scholastyki jak z trzech pobocznic, złożył się trójkąt nowego pojęcia i nauki, musiał autor przyznać każdemu systemowi zosobna znaczenie filozoficzne w kolei czasu. Okazał atoli, że były jednostronne, i że dziś są jak trzy olbrzymie ciała poznania ludzkiego, złożone na murach, i że dopiero przez uniwersalną filozofią, jak przez fortę wieczności wstąpił umysł człowieczy na elizejskie pola żywéj umiejętności (str. 75.). Przyznajmy to autorowi, i w takim razie pozwólmy na wyłączny przywilej nazwania nauki jego filozofią. Atoli posłuchajmy, co nam w końcu i po prawdzie Bóg jego powiada: (str. 89.) »Oto jest wszystko, co ci na teraz powiedzieć mogę. Pozostań wierny nauce mojéj. Wszakże nic lepszego dotąd nie usłyszałeś od nikogo, ani też nic lepszego tak prędko nie usłyszysz, aż znowu ci się objawię i przemówię do ciebie.« Przypuszcza zatém autor, że jego system nie jest ostatni, ale że przyjdą czasy, choć może odległe, w których Bóg przez nowego filozofa nowémi, wyższémi pojęciami przemówi. Więc i uniwersalna filozofia zstąpi natenczas w poczet podrzędnych systemów, jak dziś zstąpiły realistów i idealistów pomysły. Zkądże więc nauce autora wyłączne miano filozofii, a zaprzeczenie onego poprzednim naukom, skoro los wszystkich ten sam? — »Chrystyanizm i uniwersalna filozofia — są dalsze słowa autora (str. 93.) — są wszechstronne i dla tego nieprzeżyte. Prawda, że to są tylko objawienia się czasowe, i jako takie przemijające, prostujące jedynie ścieszki nowym, wyższym odkryciom w niezmierzonéj krainie wszędzie obecnéj prawdy; atoli wieleśmy już zyskali, że są wszechstronne. Jest to typ, który się dla wszystkich nowych filozofii pozostanie na wieki, jak np. człowiek zostaje człowiekiem we wszystkich gatunkach rodzaju ludzkiego.« Ale czyż tego samego nie można i o jednostronności powiedzieć? nie jestże i to typ, który raz pojawiony, na wieki pozostaje? Już dla tego samego tak jest, że jednostronności wszelakie we wszechstronności mieszczą się, i z nią trwają. Wielką prawdę wyrzekł autor, i nią zbija sam to, co o dawnych systemach, jako o trupach na marach leżących powiedział. »Wszystko z czasem przemija, cokolwiek człowiek tworzy i buduje, tylko gwiazdy umiejętności błyszczą na zawsze, na zodyaku odwiecznéj prawdy zatknione. Niechby umiejętność, jaka niedostateczną była, śmieszną nawet, trwa przecież wciąż i nie zmiera nigdy; kto zaś utrzymuje, że jest umarła i ruszać się już nie może, ten wielce się myli.« — Dla téj więc nieśmiertelności umiejętnych systemów, równie dawniejsze filozofie, acz jednostronne, jak i filozofia p. Tr godne są tego miana. Czyż Leibnitz i Newton, że jako wynalazcy rachunku różniczkowo-całkowego o nowy wyższy dział, w którym się wszystkie poprzednie mieszczą, posunęli matematykę, wyłącznie dla tego matematykami się nazwali? Tak się nam widzi i przywłaszczenie naszego autora, i źle odbija od pomysłów równie świetnych jak głębokich rozrzucona po całém dziele zarozumiałość, mówiąca z ubliżeniem o dawnych systematach, a o swoim, jako o *non plus ultra* rozumu ludzkiego, jako o nowym Messyaszu, którego prorocy przepowiadali. Z wielu miejsc następujące tylko przytoczę: »Chrystus powiedział raz do uczniów swoich: »wiele jest jeszcze rzeczy, którebym wam powiedział, alebyście ich nie pojęli. Ale kiedy przyjdzie ów duch prawdy, ten was nauczy wszelkiéj prawdy.« Ja jestem owym duchem prawdy i stawam przed tobą, abym na wiedzę zamienił wiarę twoją.« (str. 77.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*